

Violetta Koseska-Toszewa

## Byłam ostatnią doktorantką Profesora

Wyszłam po spotkaniu z profesorami z UW rozstrojona. Uczciwie wytłumaczono mi, że nie znajdę w Polsce promotora do projektowanej przeze mnie pracy doktorskiej o akmeizmie i poezji Anny Achmatowej. Musiałam więc albo pisać o czymś, o czym nie chciałam pisać, albo powrócić na Wydział Sławistyki UW i na językoznawstwo. Przedstawiono mnie profesorowi Zdzisławowi Stieberowi. Pod jego okiem miałam uzupełnić luki w swej wiedzy o gramatyce porównawczej języków słowiańskich.



49. Violetta Koseska w roku 1970 obroniła pracę doktorską napisaną pod kierunkiem Z. Stieberta

Moim wielkim szczęściem w życiu byli wspaniali nauczyciele i profesorowie. Tak było i tym razem. Weszłam do sali, gdzie był już Profesor i usiadłam z tyłu, by być jak najmniej widoczna. Na wykładzie siedziałam jak na tureckim kazaniu. Profesor uzasadniał swoje tezy na materiale z róż-

nych języków słowiańskich, ale ja nie znałam dobrze języka polskiego. Po wykładzie Profesor mnie przywołał:

– Za miesiąc będzie pani wszystko rozumieć – powiedział ciepło. Wiedział, że nic nie rozumiałam.

I tak się rzeczywiście stało, bo się uparłam. Zresztą nie miałam wyjścia. W trakcie wykładu, po porównawczym zreferowaniu zjawisk w językach słowiańskich, Profesor zawsze pytał:

– Pani Violetto, a jak to będzie w języku bułgarskim? Musiałam dawać przykłady bułgarskie i tym samym udowodniać, że rozumiem, o czym mówi.

Po kilku miesiącach Profesor poprosił mnie do gabinetu i zaproponował, bym wybrała już temat pracy doktorskiej. Radził pisać o leksyce w języku bułgarskim na tle ogólnosłowiańskim (wszystkie języki słowiańskie wraz z ich gwarami). Czekala mnie więc praca nad dialektami, a także praca nad etymologią wybranego działu leksyki.

Profesor lubił zapraszać swych uczniów do domu, gdzie jego żona, Pani Myszka (tak nazywał pieśczośliwie żonę, profesor Marię Obrębską-Stieber) zwykle szykowała dla przybyłych poczęstunek. Kiedy rozmawiał z uczniami w gabinecie, Pani Myszka przygotowywała kolację w towarzystwie kilku kotów. Koty państwa Stieberów były tak rozpuszczone, że zachowywały się jak dzikie. Robiły groźne miny, syczały i szczyrzyły kły, gdy ktoś im się nie podobał. A profesorostwo się śmiali i mówili, że jest to ich test na to, czy ich gość jest dobrym, czy złym człowiekiem.

Koty zaglądały oczywiście do gabinetu, gdzie toczyły się rozmowy naukowe, a właściwie, gdzie Profesor „egzaminował” swoich uczniów i sprawdzał, czy i jak pracują. Wielkim wydarzeniem okazało się to, że najbardziej dziki kot w ich domu podszedł do mnie i polizał mnie po ręce. Od tego czasu zostałam ogłoszona „matką kotów”.

Profesor bardzo lubił zwierzęta. Pamiętam historię, jaką opowiedział mi z dużym przejęciem.

Pewnego dnia odpoczywał siedząc na ławce na skwerku. Nagle zobaczył, jak duży pies stoi bardzo wystraszony na środku jezdni, a samochody przelatują koło niego, tak jakby go nie było. Profesor wyskoczył na jezdnię i pomógł psu wydostać się z tego piekła. Kiedy usiadł ponownie na ławce, pies postawił swoje przednie łapy na jego ramionach i oblizał mu całą twarz.

– Czy to nie dowód, że zwierzęta mnie lubią? – spytał Profesor.

– To dowód, że pan lubi zwierzęta, panie profesorze. Mógł pan na tej jezdni zginać razem z psem pod kołami jakiegoś głupkowatego kierowcy – odpowiedziałam.

Gabinet Profesora nie był wielki. Takie wrażenie sprawiał być może z powodu dużego biurka i wielkiego obrazu wiszącego na ścianie, z którego patrzyła na gości piękna kobieta o wyrazistych oczach i ciemnych włosach.

Obraz uczestniczył w naszych rozmowach, wpatrując się w nas uważnie. Spytałam pewnego razu nieśmiało, kto to jest?

– Moja matka! – z dumą powiedział Profesor – a obraz namalował sam Józef Mehoffer.

Kiedy przy pierwszej okazji odwiedziłam Kraków, poprosiłam, by pokazano mi wystawę z pracami Mehoffera. Wrażenie z obrazu Mehoffera w gabinecie profesora wzmocniło mój zachwyt nad wielką sztuką tego niezwykłego malarza.

Profesor bardzo martwił się o swoich uczniów i traktował ich jak własne dzieci. Organizował im kontakty zagraniczne. Był szanowany i miał przyjaciół na całym świecie. Zaprosił kiedyś na wykład do naszego Zakładu uczennicę pani profesor Marii Szurek-Wisti z Uniwersytetu Paris-Sorbonne, kończącą pracę doktorską o aspekcie w świetle semantyki. „Mała Helenka” – tak ją nazywał Profesor – (dzisiaj prof. dr Helène Włodarczyk), wygłosiła po polsku bardzo ciekawy referat. Był to odważny i nowatorski tekst na temat aspektu. Profesor wezwał mnie i Kazika Feleszkę, i poprosił, byśmy się „małą Helenką” zaopiekowali, wiedząc, że też zajmujemy się problemami aspektu i czasu w językach słowiańskich. Od tej pory zaprzyjaźniliśmy się z Helène, a przyjaźń ta miała charakter osobisty i naukowy. Przejawiała się w wieloletnich wspólnych projektach naukowych, a dzisiaj mało kto wie i pamięta, jak bardzo Helène pomagała swym kolegom sławistom podczas stanu wojennego.

Profesor nalegał też, bym koniecznie poznała prof. Ivana Lekova i prof. Lubomira Andrejczina.

Po raz pierwszy spotkałam profesora Lekova w Warszawie w towarzystwie profesora Stiebera. Potem wielokrotnie spotykałam się z nim w Sofii. Dzięki niemu powstała idea współpracy naukowej i słynne konferencje sławistyczne w Sofii organizowane między naszym Instytutem i Uniwersytetem Sofijskim. Konferencje te dotyczyły językowych zagadnień konfrontatywnych bułgarsko-polskich. W jakiejś mierze dzięki tej współpracy rozpoczęto długoletnią pracę nad wielotomową gramatyką konfrontatywną języka bułgarskiego i polskiego. Profesor Lekov lubił wiedzieć, co w jego ukochanej Polsce się dzieje. Z naszych rozmów pewnego dnia wynikało, że jako asystent kochał się w siostrze mojej matki (obie siostry były bułgarkami i sławistkami) i co tydzień wysyłał do niej, do Płowdiwu, dwadzieścia czerwonych róż. Ciotka wyszła za mąż za kogoś innego i całe życie tego żałowała.

Do profesora Andrejczina pojechałam z listem od profesora Stiebera. Był on dla bułgarystów wielkim autorytetem. W owym czasie był dyrektorem Instytutu Języka Bułgarskiego Bułgarskiej Akademii Nauk. Zapukałam do drzwi gabinetu. Za biurkiem siedział profesor Andrejczin. Gdy usłyszał, że mam dla niego list od profesora Stiebera, szybko się poderwał i podał mi

rękę. Profesor prosił w liście, by pomógł mi w zbieraniu materiału gwarowego do pracy habilitacyjnej. To były trudne czasy. Na obszar gwar znajdujących się prawie na granicy Turcji i Grecji nie dostałabym się bez polecającego listu profesora Andrejczina do miejscowych władz. Pamiętam, że by zebrać materiał z gwary strandzńskiej, dotarłam wówczas prawie na sam szczyt góry Strandża. W niedużej górskiej wsi były same kobiety i dzieci. Mężczyźni wyjeżdżali gdzieś zarabiać pieniądze i wracali tylko na jakiś czas do swych rodzin. Gwara wyizolowana w górach zachowała archaiczne formy dotyczące czasu i aspektu.

Moje zetknięcie się z gwarami zaczęło się już wcześniej, gdy zdecydowałam się na temat pracy doktorskiej<sup>1</sup>, a Hanka (prof. dr hab. Hanna Taborska) pomagała mi stawiać pierwsze kroki jako dialektolog.

Wpadłam wtedy na pomysł, że można zbierać materiał jeżdżąc po domach wypoczynkowych. W owych czasach istniały bowiem w Bułgarii domy wypoczynkowe, do których jesienią, po najtrudniejszych pracach polowych, chłopcy mogli udać się na dwutygodniowy odpoczynek. W tych domach było bardzo dużo odpoczywających i można było wybrać tych, którzy pochodzili ze wsi bez przesiedleńców. Profesor ucieszył się z tego pomysłu i powiedział mi, że profesor Kazimierz Nitsch zbierał materiał w więzieniach:

– Jednak dobrze, że pani może to robić w domach wypoczynkowych!

Profesor skoordynował mój i Hanki wyjazd do Bułgarii tak, by mogła ona przyglądać się temu, co robię. Wiedział też, że dzięki mnie Hanka bliżej pozna Bułgarię, ja zaś dzięki Hance dowiedziałam się, kim jest dialektolog. Zrozumiałam, że to osoba odważna, otwarta, bez pretensji, gdzie nocuje i co je. Hanka uczyła mnie, jak pytać, by nie sugerować odpowiedzi i jak dokładnie zapisywać materiał. Mój pierwszy artykuł o archaizmach w gwarze rodopskiej i w kaszubskim powstał przy jej pomocy.

Czy dlatego, że polubiłam dialektologię, także pracę habilitacyjną<sup>2</sup> oparłam na materiale gwarowym? – Nie wiem. Kiedy powiedziałam, że chcę pisać o czasach w języku bułgarskim, Profesor się zdziwił:

– To najtrudniejszy temat dla bułgarystyki i nie tylko – powiedział – poza tym dzieło profesora Andrejczina o czasach bułgarskich jest doskonałe!

Zgadzałam się z tym, ale chciałam koniecznie dalej brnąć w tym temacie. Profesor myślał kilka dni, potem poprosił mnie do gabinetu i zaproponował, bym pisała o zagadnieniach temporalnych w gwarach bułgarskich na tle języka literackiego.

<sup>1</sup> Por. Violetta Koseska-Toszewa, *Bułgarskie słownictwo meteorologiczne na tle ogólnosłowiańskim*, Wrocław 1972.

<sup>2</sup> Violetta Koseska-Toszewa, *System temporalny gwar bułgarskich na tle języka bułgarskiego*, Wrocław, 1977.

– Gwarowy materiał językowy zadecyduje, co stanowi *novum* na temat czasów bułgarskich w Pani pracy.

Taki był profesor Zdzisław Stieber. To materiał językowy stanowił zawsze dla niego podstawę do rozważań i odkryć, nie zaś z góry obrane tezy, do których dobiera się właściwy materiał. Ważne było dla niego wyciąganie obiektywnych wniosków empirycznych na podstawie materiału językowego. Sposób, w jaki mnie przekonywał do niektórych problemów naukowych, zasługuje na szczególną uwagę. Nigdy nie posługiwał się odgórnymi nakazami i zakazami.

Pamiętam, że gdy moje zdanie na temat użycia form perfektu bułgarskiego było dla Profesora trudne do zaakceptowania, zaprosił mnie na kawę z profesorem Jerzym Kuryłowiczem (profesor Kuryłowicz zajmował się perfektem indoeuropejskim) i rozpoczął dyskusję na temat, czym jest forma perfektu i jakie są jej znaczenia? Słuchał uważnie mnie i profesora Kuryłowicza (chodziło o znaczenia modalne perfektu i czy forma ta ma jakieś znaczenia temporalne). Następnego dnia poprosił mnie do gabinetu i powiedział:

– Może pani pisać o perfekcie to, co pani myśli, to dla mnie coś nowego, ale jest to ciekawe. Jednak proszę koniecznie opisać, jak użycie perfektu wygląda w gwarach.

Profesor Stieber doskonale współpracował ze sławistami z Sarajewa, przede wszystkim z profesorem Jovanem Vukoviciem. Pamiętam, siedzieliśmy – Profesor, Pani Myszka, ja i Kazik – z profesorem Vukoviciem i rozmawialiśmy o „aorystach i imperfektach”. Tę dyskusję rozpoczęto z mojego powodu, gdyż właśnie kończyłam pracę habilitacyjną o systemie temporalnym w gwarach bułgarskich. Nawet dzisiaj widzę, jak profesor Vuković uderza w stół prawą ręką, jakby odmierzał rytm w jakimś utworze muzycznym i jak mówi (dosyć głośno i stanowczo):

– O aoryście i imperfekcie może dobrze napisać ten, kto ma temperament. W tym momencie spojrział na mnie z akceptacją, chodziło więc prawdopodobnie o to, że ja mam właśnie taki temperament. Profesor Vuković miał bardzo ciekawe książki na temat imperfektu i prace jego liczyły się bardzo w naukowej literaturze. Zaprosił nas na międzynarodową konferencję do Sarajewa, gdzie miałam wygłosić referat o aoryście i imperfekcie w gwarach bułgarskich.

Miasto było magiczne, pięknie położone, ludzie uśmiechnięci. Sarajewo w owym czasie imponowało tolerancją wobec różnych zwyczajów etnicznych, a także wobec całkiem odmiennych religii. Uważałam je za oazę tolerancji. Później wojna zniszczyła i miasto i moje o nim wyobrażenia.

Tu właśnie – z okazji odznaczenia Profesora Stieberta najwyższą nagrodę Akademii Nauk – profesor Jovan Vuković zorganizował konferencję międzynarodową. Profesor Stieber wraz z żoną przylecieli dzień wcześniej. Moja

mama, bułgarystka i slawistka, bardzo chciała być na tej konferencji i posłuchać, jak mówię po serbsko-chorwacku. Chciała również zobaczyć oczywiście profesora Stiebera i piękne Sarajewo. Zaprosiłam ją prywatnie.

Tego dnia, kiedy Profesor miał dostać nagrodę, nie mieliśmy referatów. Postanowiliśmy wolne przedpołudnie wykorzystać i zwiedzić Sarajewo. Szliśmy parami: moja mama i Profesor, a krok za nimi ja i Pani Myszka. Był piękny słoneczny dzień. Sarajewo nam się podobało pod każdym względem. Pani Myszka wybierała miejsca, które chciała namalować następnego dnia podczas naszych referatów i ciągle powtarzała:

– Tu wszystko jest piękne...

Uliczka, którą szliśmy, była pełna małych sklepików i kafejek z wywiezionymi na zewnątrz krzykliwymi reklamami. Pachniało kawą. Nagle znad jednego sklepiku runęła w dół ogromna szklana platforma z reklamą i rozdzieliła Profesora i mamę ode mnie i Pani Myszkę. Gdyby spadła sekundę wcześniej, nie żyłoby mama i Profesor, platforma złamała się tuż za nimi na pięćdziesiąt centymetrów od nas. Była bardzo ciężka ze szkła i żelaza. Stanęliśmy jak wryci. Byliśmy wszyscy bladzi i wystraszeni. Ze sklepiku wyskoczył sprzedawca. Mówił coś, machając rękami, ale nie byłam w stanie go słuchać. Po chwili Profesor powiedział cicho:

– Niedawno spadła na mnie z jakiegoś balkonu doniczka z kwiatami. Pogotowie mnie zawiozło do szpitala. Miałem wstrząs mózgu. To wszystko stało się przeze mnie. Ściągam na siebie przedmioty z góry.

Potem spojrział na mnie i dodał:

– Dzięki Violetcie nic się nie stało.

Profesor oczywiście żartował z moich zdolności telepatycznych i energii, która podobała się jego kotom.

Po drodze mijaliśmy małą cerkiewkę. Weszliśmy. Wszystkie ściany były pokryte pięknymi ikonami. Na ołtarzu migwały dogorywające światełka. Zapaliliśmy małe cieniutkie świeczki. Taki jest zwyczaj na Bałkanach. W cerkwiach pali się świeczki za zmarłych i za zdrowie żyjących.

Profesor Vuković tak się przejął opowieścią o naszej rannej przygodzie, że zaproponował Profesorowi, aby zostali braćmi (*pobratimci*). Byliśmy więc świadkami niezwykłego wydarzenia. Od tego czasu obaj zwracali się do siebie przez „bracie”: „bracie Zdzisławie”, „bracie Jovane”.

Nie wiem, jak Profesorowi udawało się być bardzo wymagającym, a jednocześnie w pełni tolerancyjnym. Miałam pewnego dnia jakieś duże nieprzyjemności i z pewnością ponurą minę. Profesor to zauważył, przywołał do siebie Kazika Feleszkę i powiedział:

– Panie Kaziku, ratujcie Violetkę! Ona już nawet w swoją astrologię nie wierzy!

Profesor lubił słuchać kim jest, skoro jest urodzony pod znakiem Bliźniąt. Śmiał się, kiedy mówiłam:

– Pan profesor (jest) SĄ Bliźniętami.

Profesor myślał ciepło o wszystkich swoich uczniach. Jego troska nie była zaborcza. Był niedoścignionym wzorcem pedagoga, nauczyciela i opiekuna przez całe swoje życie.